



OVERWATCH® DEADLOCK REBELS

AUTORSTWA LYND SAY ELY



ROZDZIAŁ 1



ROZDZIAŁ

1

Z kłopotami jest tak, że gdy już raz się w nie wpakuje, trudno się z nich wykaraskać. Można próbować ich unikać, można przed nimi uciekać, można nawet z nimi walczyć – właśnie to zrobiła Ashe w przypadku braci Bonney – ale one i tak człowieka znajdują.

– Nawet nie wiem, co powiedzieć, Elizabeth. – W wąsach szeryfa Carsona dostrzegła okruszki. Tylko kilka, a jednak obsesyjnie przyciągały wzrok. – Kiedy wreszcie przestaniesz pakować się w kłopoty?

– Mówiłam panu... – Ashe zacisnęła zęby, gniotąc w palcach jedwabną spódnicę, już i tak pomiętą i poplamioną krwią, choć jeszcze kilka godzin temu wyglądała nieskazitelnie. Oczywiście to nie była krew Ashe. – Broniłam się tylko. To oni mnie zaatakowali.

– Chłopcy mówią co innego – westchnął szeryf, a kilka okruszków spadło mu z wąsów na leżący na biurku ekran, który wyświetlał kartotekę Ashe.

– Cóż... – Spojrzała szeryfowi prosto w oczy. – Więc są nie tylko zbirami, ale i kłamcami. Szeryf jednak jej nie uwierzył. Dziewczyna widziała nieufność na jego twarzy, tak samo wyraźnie jak okruszki. Nie żeby jego sceptycyzm co do jej niewinności był zaskakujący. Jedynym zaskoczeniem okazało się tylko to, jak szybko ten dzień zmienił się ze złego na jeszcze gorszy.



A zaczęło się tak dobrze.

Choć raz Ashe obudziła się o wschodzie słońca, rześka i gotowa. Większość dni zaczynała się od tego, że BOB, rodzinny robot-kamerdyner, zrywał z niej przykrycie na pięć minut przed tym, jak musiała wyjść. Zaawansowany, świadomy omnik był u boku Ashe, odkąd pamiętała, pełniąc rolę zarówno towarzysza, jak i ochroniarza. No i oczywiście niańki, która dbała, żeby Ashe wstawała rano do szkoły. Ale dzisiaj dziewczyna nie potrzebowała pomocy BOB-a.

Ten dzień był wyjątkowy. Ashe kończyła szkołę. Nie tylko oznaczało to, że już nigdy więcej nie będzie musiała przebywać w dusznych korytarzach tej nudnej, wysysającej duszę instytucji, ale także, że zobaczy minę dyrektora Wallacha, gdy ten wręczy jej dyplom. Nigdy by nie pomyślała, że tego doczeka.

Te same spojrzenia miała nadzieję ujrzeć na twarzach swoich rodziców, gdy będzie wkraczać na scenę.

Ashe umyła się, ubrała i wyszczotkowała swoje śnieżnobiałe włosy, aż lśniły. Następnie zbiegła w podskokach po schodach jej rodzinnego domu, Dworu Ołowianej Róży, do jadalni, gdzie zwykle spotykała rodziców przy śniadaniu.

Jednak, kiedy tam weszła, pokój był pusty. Żadnych filiżanek parującej kawy ani holowideo wyświetlającego niekończące się raporty finansowe i wyniki sprzedaży, ani rodziców.

Na mahoniowym stoliku stał tylko wazonik z białymi różami i oparta o niego kartka.

Gratulacje, Elizabeth! Jesteśmy z Ciebie bardzo dumni!

Pomimo ciepłych słów w liściku, Ashe podczas czytania ogarnął chłód. Zdawało się, że wszelkie barwy uciekły z pokoju, aż stał się tak bezbarwny jak róża.

Obiecaliśmy, że będziemy dzisiaj z Tobą, ale ekscytująca okazja do fuzji biznesowej zmusiła nas do zmiany planów w ostatniej chwili. Mimo wszystko jesteśmy z Ciebie bardzo dumni i mamy nadzieję, że potraktujesz to jako nowy początek. Moment, w którym zostawisz za sobą błędy i kłopoty z przeszłości i w końcu zaakceptujesz nasze rodowe dziedzictwo.

Nie raczyli nawet się podpisać. Ashe zmarszczyła brwi.

Jesteśmy z ciebie bardzo dumni...

Miała wrażenie, że to żart. Kiepski. Skoro byli tacy dumni, to dlaczego wyjechali? Dlaczego znowu zostawili ją samą?

Rodowe dziedzictwo. Co za kpina. Po drugiej stronie pokoju wisiał portret jej pra-pra-pra-pra-pra-pra-babki Caledonii, która wpatrywała się w Ashe pustym wzrokiem. To właśnie Caledonia założyła Arbalest Arms Company i położyła podwaliny pod dzisiejszą firmę zajmującą się handlem bronią. Nie była to zasługa rodziców Ashe, którzy woleli zadawać się z szefami potężniejszych korporacji – Helix, Vishkar, Hyde Global czy reszty – i ganiać za układzikami, rozmieniając na drobne reputację firmy, z której sukcesem nie mieli wiele wspólnego.

Zwyczajnie im się poszczęściło. Arbalest przez lata robił dobre interesy jako producent luksusowych karabinów na zamówienie. Potem jednak nastąpił kryzys omniczny i do firmy zwróciło się wojsko. Karabin AA92 stał się standardowym wyposażeniem armii, ponieważ miał większą pojemność magazynka i wyższą prędkość wylotową. Dzięki temu kontraktowi popyt na unikalną markę Arbalestu eksplodował. Wojna była dobra dla biznesu.

Zwłaszcza jeśli toczyła się daleko.

Większe miasta ucierpiały podczas walk, ale Belleræ, gdzie mieszkała rodzina Ashe i gdzie mieścił się Arbalest, leżało na uboczu. Przed kryzysem nie było tam więcej niż tuzin omników. Przez całą wojnę miasteczko pozostało nietknięte, a w fabrykach firmy trwała intensywna produkcja.

Jednak dzięki Overwatch kryzys się skończył. Zapotrzebowanie na broń spadło – jedna fabryka Arbalestu w Belleræ została już zamknięta. Rodziców Ashe bardziej obchodziły interesy zawierane i realizowane tysiące mil dalej niż społeczność zatrudniana przez firmę od pokoleń. Co to za dziedzictwo?

Pod obrazem wisiał pamiątkowy karabin Żmija, jeden z wczesnych wynalazków Arbalestu, który wywalczył firmie miejsce na rynku zbrojeniowym. Ponad stuletnia broń wciąż strzelała celnie i wyglądała jak nowa. Innowacja. Jakość. To było dziedzictwo Caledonii, która nigdy nie pozwalała Arbalestowi pozostać w tyle. Zatrudniała najlepsze i najbystrzejsze umysły, jakie mogła znaleźć, i zawsze dbała, aby jej podwładni czuli się doceniani – bardziej jak rodzina niż pracownicy. Ale umiała też postawić na swoim – mówiło się, że kazała pracownikom zwracać się do niej „pani Ashe”, niezależnie od tego, jak długo ją znali. Może chciała w ten sposób wzbudzać szacunek, a może po prostu nie lubiła imienia Caledonia, tak samo jak Ashe nie znosiła Elizabeth i również wołała, gdy mówiono jej po nazwisku.

Dziewczyna odwróciła się na stukot kroków. Do jadalni wszedł BOB, w wielkich, metalowych dłoniach niośł tacę z ulubionym śniadaniem Ashe – goframi ociekającymi syropem klonowym i dużą porcją bardzo, bardzo chrupiącego bekonu.

Poczuła w ustach kwaśny posmak.

– Wyglądam na głodną? – warknęła.

Omnik jedynie mrugnął i położył tacę na stole. Ashe od razu ogarnęły wyrzuty sumienia, przecież BOB nie zrobił nic złego. Zawsze był przy niej, pewny i niezawodny. Zniknął, jak wszyscy omnicy, dopiero podczas kryzysu omnicznego. Mijały lata, podczas których Ashe myślała, że już nigdy nie zobaczy swojego kamerdynera. Zaskoczyło ją, jak wielką tęsknotę wywołała w niej nieobecność BOB-a. Potem, po zakończeniu wojny, powrócił do Ołowianej Róży, już jako świadoma istota... Okazał się inny, w sposób, którego Ashe nigdy do końca nie zrozumiała, ale wciąż był towarzyszem, którego pamiętała. I od tamtej pory trwał u jej boku.

W przeciwieństwie do matki i ojca.

– Mogli przynajmniej się pożegnać... – Głos jej się załamał. Ashe napięła się, zła i na siebie, i na rodziców. Nie pierwszy raz zostawili ją samą bez słowa i prawdopodobnie nie ostatni. Odkąd sięgała pamięcią, istniała dla niej tylko rozległa, rozbrzmiewająca echem samotność posiadłości – zwłaszcza w latach nieobecności BOB-a – albo dezaprobata rodziców wywołana różnymi incydentami, w których Ashe brała udział mniej lub bardziej przypadkowo.

Przekręciła kartkę w dłoniach. Więc dlaczego tak się zagotowała?

Bo dzisiaj miało być inaczej. Jej matura zdawała się coś znaczyć dla rodziców. Może chcieli tylko pokazać publicznie, że ich córka nie jest jedynie rozrabiaką. Ani dziewczyną, która została przyłapana na próbie przekonania lokalnego hakera, aby zmienił jej wszystkie oceny na szóstki. Nie wspominając o zamknięciu szkoły, w której trzeba było przeprowadzić odkażanie po popisach Ashe z procą w laboratorium naukowym. A może, jak dziewczyna miała nadzieję, był to dla rodziców powód, aby wreszcie uwierzyli, że ich córka może zrobić coś dobrze. Przysięgła przecież, że ukończy szkołę.

A oni obiecali, że przy tym będą.

Ashe czuła się głupio, że im uwierzyła.

Na róże wazonie padł promień porannego słońca, który oświetlił je niczym cele strzeleckie. Dziewczynę ogarnęła przemożna chęć, aby wziąć je na celownik i zobaczyć, jak eksplodują w rozprysku płatków i kryształ. Gdyby Żmija była naładowana, niewiele by zostało z prezentu od rodziców. Zamiast tego upuściła kartkę na kominek i ruszyła do holu. Gdy mijala BOB-a, ten wyciągnął ramię, żeby ją zatrzymać.

– Nie martw się, pójdę na tę głupią ceremonię! – westchnęła.

BOB kiwnął głową.

– Ale nie pojedę samochodem. Wolę się przejść... sama.

Omnik podniósł ostrzegawczo rękę.

– Wiem, wiem. Nie mogę. – Jednak Ashe nie miała ochoty na przestrzeganie jakichkolwiek zasad. – Ale zanim wyjdziemy, możesz poszukać mojej złotej bransoletki? No wiesz, tej, którą rodzice dali mi na urodziny w zeszłym roku? Zapomniałam ją założyć.

BOB odwrócił się posłusznie i skierował na piętro. Normalnie kamerdynier odprowadziłby dziewczynę do szkoły. Ale w tej chwili Ashe nie miała ochoty na towarzystwo. Dlatego odwróciła uwagę BOB-a niewinnym kłamstwem. Zanim zorientował się, że bransoletki nie ma w jej pokoju (matka Ashe pożyczyła ją kilka miesięcy temu i nigdy nie oddała), dziewczyna już dawno wyszła z domu.



Ashe wybrała drogę do miasteczka, która prowadziła wzdłuż rzeki. Okolica była opustoszała, kręciło się tutaj tylko kilka kaczek i sporadycznie przelatywały policyjne drony obserwacyjne. Ashe nadal była skwaszona, cisza i samotność nie przyniosły jej ukojenia. Nie miała przyjaciół, którzy mogliby ją rozbawić i poprawić nastrój rozmową. Status córki potężnej rodziny Ashe'ów sprawiał, że rówieśnicy woleli trzymać się od dziewczyny z daleka.

Sytuacji nie poprawiło niedawne zamknięcie jednej z fabryk Arbalestu, przez które rodzice wielu jej znajomych stracili pracę. Kilku uczniów z klasy Ashe, którzy zwykle jej unikali, zaczęło otwarcie okazywać

dziewczynie niechęć i coraz częściej wywoływać awantury. Właśnie dlatego nie mogła się już doczekać ceremonii zakończenia szkoły.

Jednak pod ozdobnymi drzewami biegnącymi wzdłuż brzegów rzeki Ashe mogła odetchnąć z ulgą, zapomnieć na chwilę o duszącej samotności dworu i udawać, że jest zupełnie gdzie indziej i kimś zupełnie innym.

– No, no, co to za rannego ptaszka tu mamy?

Ashe zatrzymała się, jej spokój natychmiast prysł. Odwróciła się, wiedząc dobrze, kto idzie za nią – Jodie i Jimmy Bonneyowie. Byli o rok młodszy. Nikt w Bellerabe nie nienawidził Ashe i jej rodziny bardziej niż tych dwóch. Ich rodzice pracowali w Arbaleście od dziesięcioleci, po czym zostali bezceremonialnie zwolnieni, gdy fabrykę zamknięto.

– Ja wiem, Jodie – zachichotał Jimmy. – To rzadki paw o szkarłatnych oczach. Dziwne, bo zwykle ptaszysku towarzyszy wielki, zgrzytliwy robot-sługus.

No, wspaniale. Jeszcze tylko do szczęścia brakowało jej spotkania z tymi dwoma chuliganami.

– Zmykajcie, chłopcy. Nie jestem w nastroju.

– Nie musisz być niemiła. – Jodie wymienił z bratem złośliwy uśmieszek, który nie spodobał się Ashe. Może i byli młodszy od niej, ale za to o wiele więksi. – Dzisiaj kończysz szkołę, nie? Gratulacje! Przyznaj się, ile twoi rodzice musieli za to zapłacić?

Ashe zjeżyła się, ale zachowała spokojne spojrzenie.

– Nie wiem. Prawdopodobnie o wiele mniej niż za to, żeby dyrektor Wallach przepuścił waszą durną, żrącą kredę dwójkę.

Twarze obu Bonneyów spochmurniały.

– Mądrała z ciebie, co? – zadrwił Jimmy. – Myślisz, że jak jesteś bogata, to możesz zadzierać nosa?

W Ashe zawrzała krew, dziewczyna poczerwieniała od wzbierającej w niej adrenaliny.

– Och, chłopcy... – Obdarzyła ich kpiąco cierpliwym uśmiechem. – Nawet biedna jak mysz kościelna, byłabym warta więcej od was dwóch.

Nie mogła się powstrzymać, chociaż zdawała sobie sprawę, że to, co powiedziała, nie było w porządku. Przepęniała ją frustracja, a jeśli Bonneyowie okazali się tak głupi, żeby stanąć Ashe na drodze, to niech się dzieje, co chce.

– Biedna jak mysz kościelna? – Głos Jodiego nabrał ostrego brzmienia. Chłopak pochylił się i podniósł garść ziemi. – Co ty możesz wiedzieć o biedzie? Hej, Jimmy, wytarzajmy naszego pawia w brudzie, żeby wiedziała, jak to jest.

Ashe wyprostowała się z uśmiechem wciąż wymalowanym na twarzy. Dwóch na jedną? Bywało gorzej.

Jimmy rzucił się do przodu, próbując ją złapać, ale zawsze był powolny – dosłownie i w przenośni. Ashe zatańczyła, uskakując, i kopnęła napastnika. Jimmy krzyknął, gdy trafiła go stopą w gołe nogi, i upadł na trawę.

Dłoń zacisnęła się na jej przedramieniu. Jodie – szybszy niż jego brat – przyciągnął Ashe do siebie, próbując obezwładnić ją w niedźwiedzim uścisku. Dziewczyna w ostatnim momencie kucnęła i uderzyła go łokciem w brzuch. Chłopak sapnął i odeskoczył, ciężko dysząc. Nieopodal Jimmy zerwał się na równe nogi, poczerwieniały ze wstydu.

– Skończyliście? – rzuciła niecierpliwie Ashe. – Nie mam całego dnia, wiecie?

Jimmy z rykiem natarł znowu, wymachując pięściami. Uskoczyła przed jednym uderzeniem, a potem drugim – dzikim sierpowym, który pewnie by ją znokautował, gdyby trafił. Ale dziewczyna wiedziała, jak unikać ciosów.

Oraz jak je zadawać. Zaczekała na otwarcie i strzeliła Jimmiego pięścią prosto w twarz. Padł na kolana, krew zalała mu usta.

– Oż, ty... – Ton głosu Jodiego zrobił się niski i lodowaty. – Zaraz nie będziesz taka ładna.

W jego dłoni rozbłysło srebro. Nóż.

Ashe cofnęła się nerwowo o krok. Może popełniła błąd, prowokując tych dwóch. Bójki to jedno, ale walka

na noże to zupełnie co innego.

Jodie nie dał jej czasu ani na wycofanie się, ani na próbę przemówienia mu do rozsądku. Z gniewnym błyskiem w oczach rzucił się do kolejnego ataku. Ashe uchyliła się i chwyciła za rękę z bronią, po czym od razu wyrzuciła łokieć w górę. Satysfakcjonujące chrupnięcie oznajmiło, że trafiła napastnika w nos. Jodie dołączył do leżącego na ziemi brata, nóż wyslizgnął mu się z palców. Ashe chwyciła ostrze, uniosła i odsunęła się od chłopców.

I wtedy zawyły syreny. Pojawiła się para motolotów Policji Bellerae, z błyskającymi światłami. Ashe domyśliła się, że jeden z przelatujących dronów policyjnych musiał dostrzec starcie. Odwróciła się, ale trzeci policjant był tuż za nią.

– Nie ruszaj się! – Zastępca szeryfa zsiadł z pojazdu z wycelowanym w dziewczynę pistoletem.

Ashe zaklęła i upuściła nóż.

To tyle, jeśli chodzi o ceremonię zakończenia szkoły.



– Moi zastępcy przyłapali cię z bronią w ręku. – Szeryf Carson zmarszczył brwi. – Znaleźli też dwóch zakrwawionych chłopców, którzy twierdzą, że to ty ich zaatakowałaś.

– Wiem, że tak to wyglądało. – Ashe uśmiechnęła się najniewinniej, jak potrafiła. Nie było to łatwe, bo cały czas myślała o tym, że udusi Bonneyów za ich kłamstwa. – Jeśli pozwoli mi pan...

– Dość! – Szeryf trzasnął pięścią w biurko. – Zawsze masz jakieś wymówki, Elizabeth. Myślisz, że możesz robić, co ci się podoba, a potem zasłaniać się swoim nazwiskiem?

– Skądże zno... – zaczęła Ashe.

– Tym razem nic z tego – przerwał jej szeryf z gniewem. – Wstawaj!

– Co?

Bezceremonialnie szarpnął ją za ramię.

– Hej!

– Może jak będziesz miała trochę czasu do namysłu, nauczysz się odrobiny pokory. – Szeryf wywłókł ją z gabinetu i zaprowadził korytarzem do zatęchłej, słabo oświetlonej części posterunku, której nigdy wcześniej nie widziała. Do aresztu.

– Och, niech pan da spokój, szeryfie – próbowała go ułagodzić Ashe. – To zupełnie niepotrzebne. Proszę zadzwonić do BOB-a, będzie tu w mgnieniu oka...

– Uhm, wiem. – Szeryf Carson otworzył jedną z cel i wepchnął Ashe do środka. Posłał jej krzywy uśmiešek. – Pieniądze twoich rodziców znowu uratują ci skórę i nikt nie powie złego słowa, bo twoja rodzinka ma w kieszeni połowę miasta. Ale bez pośpiechu. Jesteś niepełnoletnia, więc sama nie możesz wpłacić kaucji. Zadzwonię do twoich rodziców... Tylko trochę później. Gdy już dobrze poznasz wnętrze celi. – I zatrasnął drzwi.

– Proszę zaczekać... – Ashe starała się zachować spokój, ale na próżno. – Cholera, szeryfie, wracaj pan tu!

Carson ją zignorował. Gdy zniknął, Ashe przygarbiła się zrezygnowana i oparła o kraty celi. Szeryf nie zamierzał słuchać. Nigdy jej nie słuchał. Jak wszyscy w tej zapadłej miejscinie – łącznie z jej rodzicami – już zdecydował, kim Ashe jest... i kim zawsze będzie.

Rozpieszczoną dziedziczką. Rozrabiaką, która przynosiła im tylko wstyd i z której rodzice raczej nie mogli być dumni.

I nie miało znaczenia, że dziewczyna wcale się za kogoś takiego nie uważała.

– Hmmm... – usłyszała za plecami. – Niezłe z ciebie ziółko jak na panienkę z dobrego domu.

– Słucham? – Odwróciła się zaskoczona.

W celi obok, na ławce wmurowanej w ścianę, leżał mężczyzna z kapeluszem nisko naciągniętym na twarz.

– Jesteś bogaczką. Na bank, w takim wymuskany wdzianku. – Głos miał głęboki, miękki.

– Pilnuj swoich spraw – odburknęła.

Nieznajomy parsknął śmiechem.

– Co sprawiło, że nabrałaś ochoty, by zwiedzić celę?

– Na nic nie miałam ochoty, do cholery. – Ashe zmrużyła oczy. – Jestem niewinna.

Mężczyzna uniósł rondo kapelusza, odsłaniając młodą twarz o zawadiackim uśmiechu i brązowych oczach, z których jedno było podbite.

– Zabawne. Zupełnie jak ja.

– Doprawdy? – zadrwiła Ashe. – To limo wskazuje na coś innego.

– Mówisz o tym drobiazgu? – Młodzieniec usiadł i przyłożył palce do siniaka. – Mój przyjaciel wdał się w małe... nieporozumienie z innym parobkiem. Wkroczyłem, żeby to załagodzić.

– Nie sposób nie zauważyć, że tylko ty trafiłeś do aresztu.

– Kolega miał już zbyt wiele zatargów z prawem. – Wzruszył ramionami.

– Dałeś się złać i aresztować dla znajomego? – Jej irytacja zmieniła się w zdziwienie. – To bardzo zacnie z twojej strony. I głupio.

– Jak już mówiłem, Julian to przyjaciel. A ja nie mam ich zbyt wielu. – Młodzieniec wstał i przeciągnął się leniwie. – A co z tobą? Jak tu trafiłaś?

– Tak samo jak ty – odpowiedziała ostrożnie Ashe, przypatrując się współosadzonemu. Nie mógł być starszy od niej, może nawet młodszy, choć robił wrażenie kogoś, kto już wiele w życiu widział. – Przez nieporozumienie.

– W takim razie chyba mamy coś wspólnego. – Podeszedł do kraty oddzielającej ich cele i wyciągnął rękę. – Panno...?

Zawahała się, ale tylko na chwilę. Z kłopotami było tak, że gdy raz miało się z nimi do czynienia, łatwo było je potem dostrzec. A przy braciach Bonney ten chłopak wydawał się przyjazny jak szczeniak.

– Mów mi Ashe. – Ucisnęła wyciągniętą między kratami dłoń. – A ty jesteś...?

– Jesse. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Jesse McCree.





